

Piotr Łossowski

**11 LISTOPADA 1918 – ŚWIĘTO  
NIEPODLEGŁOŚCI**



**B**ywają w życiu narodów chwile przełomowe, kiedy dni liczą się za miesiące, a miesiące za lata. Taki właśnie moment przeżyła Polska w listopadzie 1918 r. Na ziemiach centralnej Polski doszło do załamania się okupacji, co Polacy wykorzystali, przywracając swe własne rządy po 120 latach obcego panowania. Przejście od niewoli do wolności było gwałtowne, ale też pokłady zniecierpliwienia i pragnienia swobody nagromadziły się ogromne.

Polska w tych listopadowych dniach uniknęła wielu zagrożeń i niebezpieczeństw. Wielką w tym była zasługa polskich konspiratorów i osobiście Józefa Piłsudskiego, który 10 listopada powrócił do Warszawy.

Dla pełniejszego zrozumienia tych wydarzeń cofnąć się trzeba nieco w czasie, by przypomnieć w największym skrócie, jak przedstawiała się sprawa polska.

W drugiej połowie XIX w. mogło się wydać, że rozbiory Polski są faktem trwałym i nieodwracalnym. Zakorzenił się pogląd, że rozdzielone na trzy części ziemie polskie coraz bardziej zrastają się z obszarem państw zaborczych, czemu sprzyjają dynamiczne przemiany społeczne i gospodarcze, że odrodzenie Polski staje się coraz mniej realne. Na arenie międzynarodowej przestano interesować się sprawą polską. Nie występowała ona w działaniach dyplomatów.

Przyczyną tego była współpraca i solidarność państw, które dokonały rozbiorów Rzeczypospolitej, a które łączyło poczucie wspólnego interesu i pragnienie utrzymania swego stanu posiadania. „Istniał mur nieprzyjazny – pisał badacz problemu Tadeusz Piszczkowski – o który wysiłki polskie się rozбивały. Była nim niekorzystna sytuacja zewnętrzna, wynikająca z łącznej niezmiernej przewagi w Europie tych trzech potęg, które Polskę rozebrały i były zainteresowane w jej utrzymaniu w niewoli. Jak długo były one solidarne w swej polityce, tak długo nie było dla sprawy polskiej nadziei”.

Jednak od końca XIX w. można było dostrzec, iż podstawy współpracy między państwami zaborczymi ulegają zachwianiu, że ujawnia się między nimi konflikt. Rzesza Niemiecka i Austro-Węgry stawaly coraz wyraźniej przeciwko Rosji, która znalazła sojuszników we Francji i Wielkiej Brytanii. Konflikt, jak wiadomo, doprowadził latem 1914 r. do wojny, ta zaś stworzyła nową sytuację, która dawała nadzieję Polakom.

Jednakże początkowa wiara nie przybierała konkretnych kształtów. Walczące ze sobą państwa zaborcze, mimo obietnic, których nie skąpiono Polakom, nie myślały o przyznaniu Polsce niepodległości. Dążyły tylko do wykorzystania Polaków dla własnych wojennych celów.

Wszakże przebieg wojny, w którą zaborcy wnikali się coraz bardziej, zaczął ich zmuszać do zmiany taktyki. Zwłaszcza Niemcy odczuwali coraz bardziej brak rezerw ludzkich, niedostatek surowców. Spoglądać więc zaczęli z rosnącą uwagą na okupowane ziemie polskie, dociekając, czy nie zdoła się coś jeszcze z nich wyciągnąć za nowe obietnice. 5 listopada 1916 r. dwaj cesarze – niemiecki i austro-węgierski – wystąpili z manifestem, mówiącym o utworzeniu „samodzielnego państwa z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem”. Odezwa wywołała nawet początkowo zaciekawienie ludności. Obudziła na nowo nadzieje.

Świadek tamtych wydarzeń, Józef Rokoszyński, tak odnotował ten dzień: „Prześliczny jesienny, jędrny poranek. Odezwa wielka rozlepiona, gromada ludności czyta: niepodległość, konstytucyjne państwo, monarchia dziedziczna, armia! Bierze mnie to silnie. Dwóch monarchów, dwóch zaborców głosi publicznie wobec świata niepodległość Polski”.

Ale już najbliższe dni i miesiące miały pokazać, iż były to tylko puste, dawane w złej wierze obietnice. Okupantom chodziło wyłącznie o polskiego rekruta. Niewiele znaczyła też powołana przez okupantów w 1917 r. Rada Regencyjna i utworzone przez nią, a pozbawione wszelkiej siły rządy.

Okupanci zachowali nadal pełnię władzy i sprawowali ją w sposób bezwzględny, myśląc tylko o tym, jak nadal wyzyskiwać zajęte ziemie polskie dla potrzeb prowadzonej przez siebie wojny, ogoławając kraj z wszystkiego i łupiąc, co się tylko dało.

Oznaczało to dalszy bezwzględny rabunek z różnego rodzaju surowców, zwłaszcza żywności. Pozrywano nawet „starodawne organy i dzwony i przetapiano następnie na szmelc do wyrobu szrapneli”.

Dopiero rok 1918 – piąty rok wojny – przyniósł wreszcie oczekiwany przełom. Najpierw, od wiosny, wojska niemieckie kilkakrotnie podejmowały ofensywę na froncie zachodnim, usiłując przerwać front Aliantów i przedostać się do Paryża. Ale w krwawych bitwach, przeciągających się do lata 1918 r., okazało się wyraźnie, iż nie starcza im sił. Decydującą rolę odegrały świeże dywizje amerykańskie, które wzmocniły wojska Francuzów i Anglików. Inicjatywa przeszła w ręce sojuszników. Cały świat z zapartym tchem obserwował, jak Niemcy zaczynają się chwiać i cofać.

Również w Polsce obserwowano uważnie te wydarzenia. Wiadomości nadchodzące z frontu robiły olbrzymie wrażenie. W październiku 1918 r. stawało się jasne, że koniec wojny zbliża się szybкими krokami, a z nim klęska mocarstw centralnych.

W „Kurierze Warszawskim” z 5 listopada 1918 r. ukazał się reportaż mówiący o nastrojach na prowincji: „Dwa tygodnie nie byłem na wsi – pisał autor reportażu. – Ogólne wrażenie jest, że prowincja ożyła. Letarg, w którym była pogrążona, minął. Pomimo niedostatków wszelkiego rodzaju i gatunku, pomimo niedojadania, często nawet głodówki, na pierwszy plan życia wyłania się nie kwestia aprowizacji kraju, lecz sprawa szerzącej się w myślach i marzeniach wolnej Polski”.

W nowych warunkach również Rada Regencyjna zdobyła się na odruch sprzeciwu i samodzielności. 7 października 1918 r. ogłosiła orędzie do narodu, w którym, opierając się na zasadach pokojowych prezydenta Stanów Zjednoczonych Thomasa W. Wilsona, mówiła o „utworzeniu niepodległego państwa obejmującego wszystkie ziemie polskie” oraz zapowiadała zwołanie sejmu, „w którego ręce władzę swą złoży”.

Okupanci zaczęli rozumieć, że zbliża się kres ich panowania. Wyrażali gotowość przekazania Polakom części władzy administracyjnej, lecz jak najdłużej chcieli utrzymać władzę wojskową, a zwłaszcza szlaki komunikacyjne wiodące przez Polskę na zachód.

Demonstrowali też swą siłę. A przecież Niemcy dysponowali na terenie okupacji w Polsce około 80 tys. wojska, gdy występujące ze strony polskiej konspiracyjne formacje liczyły zaledwie kilkanaście tysięcy zaprzysiężonych, lecz co najważniejsze prawie zupełnie nieuzbrojonych ludzi.

Tymczasem rozkład władzy okupacyjnej nastąpił najwcześniej na obszarach zaboru i okupacji austro-węgierskiej. Na przełomie października i listopada wyswobodziła się Zachodnia Małopolska, Lubelskie i Kieleckie, nie napotykając prawie oporu ze strony Austriaków.

Władze austriackie nie miały ani sił, ani ochoty, ażeby się dążeniom Polaków przeciwstawić. Działając jednak zgodnie

z długoletnimi nawykami, czekały na odgórne polecenia. Do końca też myślały o interesach Austrii, zabezpieczenia pozostawionego przez nią mienia. Opór stawiany przez austriackich wojskowych i urzędników nie był jednak stanowczy, nosił więcej cech bezsilności niż zdecydowania.

Przejęcie władzy w Galicji nastąpiło stosunkowo sprawnie i bez większych wstrząsów, i z tego powodu, iż wobec zatrudnienia Polaków w administracji, szkolnictwie czy w żandarmerii ci sami ludzie, zaznajomieni z tokiem spraw, przeszli niezwłocznie na służbę odradzającego się państwa polskiego.

Dużą rolę w przejęciu władzy w Galicji odegrali także wojskowi Polacy z armii austriackiej. Ich wystąpienie i przejście do wojska polskiego symbolizowało ten moment zwrotny, w którym samo przejęcie władzy następowało. Organizacje niepodległościowe, POW, legionści również byli aktywni, odgrywając swą rolę.

Podczas przewrotu w Galicji wystąpiła od samego początku sprawa stosunków z innymi narodami. Problem ujawnił się od razu jako trudny i kontrowersyjny. Dotyczył przede wszystkim ustalenia granic na wschodzie i zachodzie. Do otwartych walk doszło we Lwowie, gdzie władzę chcieli przechwycić Ukraińcy, a sprzeciwili się temu polscy mieszkańcy miasta.

Przewrót w Galicji wyzwolił wielką falę migracji żołnierzy, która stała się istotnym składnikiem rozgrywających się wydarzeń. Tysiące obcych wojskowych ruszyło do swych domów, stwarzając wiele problemów młodej władzy. Z drugiej strony tysiące żołnierzy Polaków wyruszyło z różnych frontów w drogę powrotną do ojczyzny i często wymagali oni pomocy.

Również wyzwolenie austriackiej strefy okupacyjnej nastąpiło szybko i bez rozlewu krwi. Władze austriackie wiedziały, że muszą ustąpić. Chciały dokonać tego, doprowadzając do porozumienia z rządem polskim w Warszawie. Zmiana władzy nastąpiła jednak na skutek faktów dokonanych, w rezultacie

wystąpienia Polaków, którzy po prostu usunęli okupantów. Sytuacja dojrzała ku temu: nastąpił bowiem całkowity rozkład austriackiego aparatu okupacyjnego, Polacy zaś byli wystarczająco przygotowani do szybkiego przejęcia władzy.

Podobnie jak w Galicji, ustępujących Austriaków potraktowano wielkodusznie i z wyrozumiałością, ale też rygorystycznie przestrzegano, ażeby okupanci nie ogołocili kraju podczas wyjazdu. W zasadzie udało się to osiągnąć.

Oswobodzenie z okupacji austriackiej było wydarzeniem bardzo ważnym dla dalszego rozwoju wypadków. Obszar wyzwolony zbliżył się na odległość kilkudziesięciu kilometrów do Warszawy, gdzie wciąż trwały rządy niemieckie.

Wszakże zniecierpliwienie wznosiło się coraz silniejszą falą. Ludzie przeczuwali, że zbliża się doniosła chwila, na którą czekali od dawna.

1 listopada 1918 r. wieczorem w Teatrze Wielkim w Warszawie odbywało się przedstawienie opery *Carmen* Georges'a Bizeta. Nagle spektakl został przerwany. Na scenę wszedł aktor Wacław Brzeziński. Odczytał otrzymaną właśnie depeszę, mówiącą o tym, że Polacy przejęli władzę w Krakowie. Trudno opisać reakcję zebranych. Sala szalała z radości – Kraków, stara stolica Polski, jest już wolny. Na ogólne żądanie orkiestra odegrała dwukrotnie *Jeszcze Polska nie zginęła* oraz *Boże, coś Polskę*. Muzyce towarzyszył chóralny śpiew zebranych.

Jednak po opuszczeniu teatru ludzie dostrzegli niezmienną wokół rzeczywistość. Opustoszałe ulice, patrole żołnierzy niemieckich na każdym kroku.

W dniu następnym ukazały się gazety, które donosiły o zachodzących wypadkach. Pisały, że „brygadier Roja objął komendę nad oddziałami polskimi w Krakowie i w Galicji, aż po Przemyśl”. Informowano, że „wśród podniosłego nastroju i manifestacji ludności rozbrojono załogi austriacko-węgierskie”.



Władze niemieckie usiłowały zachować spokój i udawały, że nic się nie dzieje. 5 listopada, w drugą rocznicę cesarskiego manifestu, zorganizowały nawet na ulicach Warszawy defiladę wojskową, jako pokaz swej siły i sprawności.

Jednak wymowa napływających z Niemiec wiadomości była nieubłagana. Przełomowy pod tym względem był dzień 9 listopada. „Dodatki nadzwyczajne dzienników, które kilkakrotnie ukazywały się na mieście, publiczność rozchwytywała chciwie”. A przynosiły one nie byle jaką nowinę – mianowicie wiadomość o wybuchu rewolucji w Niemczech, o abdykacji, o ucieczce do Holandii cesarza Wilhelma.

Rzecz oczywista, że w tym czasie dowództwo niemieckie nosiło się już z myślą o konieczności opuszczenia Polski. Pragnęło tego dokonać jednak na własnych warunkach – zachowując w swych rękach strategiczne linie komunikacyjne i rozciągając ewakuację na miesiące. W ten sposób огоłocono by kraj ze wszelkich zapasów. Setki tysięcy żołnierzy wracałyby drogami wiodącymi przez Polskę. Oczywiście, że w takich warunkach o przejęciu pełnej i faktycznej władzy przez Polaków trudno było mówić. Wyzwolenie Polski przeciągnęłoby się, kraj zostałby rozgrabiony ostatecznie, podobnie jak to się stało w krajach bałtyckich, gdzie Niemcy przebywali aż do jesieni 1919 r.

Jednakże wypadki potoczyły się innym torem. Rankiem 10 listopada do Warszawy przyjechał, zwolniony z więzienia w Magdeburgu, Józef Piłsudski. Szybko zorientował się w sytuacji i przejął kierownictwo całej akcji. Oficerowie towarzyszący w podróży Piłsudskiemu proponowali mu, ażeby po przyjeździe podjął rokowania z dowództwem niemieckim. Zdecydował jednak inaczej. Zapoczątkował mianowicie rozmowy z przedstawicielami Rady Żołnierskiej, która właśnie została utworzona. Komendant trafnie przewidział, iż będą oni o wiele

bardziej skłonni do ustępstw. Naczelnym dążeniem Rady było bowiem zorganizowanie jak najszybszego powrotu żołnierzy niemieckich do ich ojczyzny.

Zaczęły się negocjacje, podczas których ze strony polskiej wysunięto warunek oddania broni i sprzętu wojskowego, a także taboru kolejowego. W zamian za to obiecano zorganizowanie ewakuacji za pomocą kolei. Taka platforma porozumienia została przez Radę Żołnierską przyjęta.

Tymczasem na ulicach Warszawy zdarzały się wypadki rozbijania pojedynczych żołnierzy niemieckich i zdejmowania im oznak wojskowych. Zabraną broń „ładowano na dorożki lub automobile i odwożono”. Nie były to wszakże duże ilości.

Późnym wieczorem 10 listopada dowódca Polskiej Organizacji Wojskowej Adam Koc, składając Piłsudskiemu meldunek o rozwoju sytuacji w mieście, informował, że „niezorganizowane luźne grupy” atakują i rozbijają Niemców na własną rękę, „co grozi wywołaniem chaosu i zerwaniem rozejmu”. W paru miejscach doszło nawet do poważniejszych starć. Piłsudski nakazał, ażeby tam, „gdzie były lub grożą walki, zalecić Niemcom cofnięcie się do wnętrza”. „Nie dopuszczać do starć – podkreślał Piłsudski – i nie wypuszczać Niemców na ulicę. Porozumienie musi być dotrzymane”.

Jak wielkie znaczenie do tego przywiązywał Piłsudski, świadczy fakt, iż z samego rana 11 listopada 1918 r. udał się do siedziby Rady Żołnierskiej w Pałacu Namiestnikowskim. Wystąpił tam z przemówieniem do delegatów żołnierskich. Zapewnił ich o przychylności władz polskich i zaręczył pomoc w zorganizowaniu powrotu do domu. „Znajdujecie się wśród narodu, który wasz rząd traktował z całą brutalnością – mówił – Ja jako przedstawiciel narodu polskiego oświadczam wam, że naród polski za grzechy waszego rządu nad wami mścić się nie będzie! Pamiętajcie, że dosyć krwi już popłynęło, ani jednej kropli więcej”.

Postępowanie Józefa Piłsudskiego było przewidujące i słuszne. W rezultacie pokrzyżowany został zamiar niemieckiego dowództwa, ażeby ewakuację przeprowadzić na swój sposób, co mogło oznaczać, jak już zostało wskazane, znaczne przedłużenie obecności wojsk niemieckich na ziemiach polskich. Przyczyniano się również do tego, że okupacyjne wojsko niemieckie przestawało być sprawnie działającym aparatem. Natomiast silniej doszły do głosu dążenia żołnierzy, wyrażane przez Radę, skończenia z wojną i powrotu do kraju.

Dlatego też w decydujących chwilach żołnierze niemieccy, w swej większości, nie zdobyli się na stawienie oporu, do czego nakłaniało ich dowództwo. Skuteczne okazały się stanowcze, ale jednocześnie powściągliwe, działania strony polskiej, a także natychmiastowe interwencje Rad Żołnierskich.

Spójrzmy, jak to wyglądało w działaniach praktycznych. Wielce charakterystyczna scena rozegrała się przed Dworcem Wiedeńskim (Głównym). Wobec gromadzącego się i coraz bardziej agresywnego tłumu wystąpił oddział niemieckiego wojska z oficerami i stanął koło głównego wejścia z bronią u nogi. Żołnierze, wyraźnie zdezorientowani, czekali rozkazów. Nagle „jak spod ziemi” wypadł żołnierz niemiecki i przystąpiwszy do oficera, coś mu powiedział. Potem zwrócił się do żołnierzy i gorąco ich przekonywał. Niemcy „stali jak wryci” – mówiła relacja dyżurującego na dworcu policjanta. Skorzystał z tego tłum i wtargnął do wnętrza. Żołnierzom zabrano karabiny. Wkrótce zajęto cały dworzec i zabezpieczono kasy kolejowe.

Zajmowanie gmachu Dyrekcji Kolei, które rozpoczęto jeszcze wieczorem 10 listopada, przeciągnęło się. Strzelanina trwała przez całą noc. Dopiero koło południa 11 listopada Niemcy zgłosili gotowość „oddania gmachu w ręce przedstawiciela wojska polskiego”. Wkrótce przybył oficer polski i nastąpiło przejście gmachu. Przed bramą stanęli polscy żołnierze.

Dość ostro wzbraniali się Niemcy przed oddaniem obiektów bankowych. W lokalu Ost-Banku, w budynku Galerii Luksemburg, zagrozili powstańcom polskim użyciem broni. Skapitulowali dopiero po kilku godzinach. Powodując tę zwłokę, Niemcy chcieli uzyskać możliwość rozdysponowania przynajmniej części pieniędzy. Wskazuje na to ich postępowanie w innym miejscu, mianowicie w wydziale finansowym Zarządu Okupacyjnego na rogu ulicy Kredytowej i placu Zielonego (dziś plac Dąbrowskiego). Tam właśnie, zanim kasy przejęli Polacy, wypłacono urzędnikom duże sumy.

Z kolei z przejściem biur General-Gubernatorstwa Warszawskiego „uporano się nadzwyczaj szybko”. Tutaj, jak wynika ze źródeł niemieckich, „urzędnicy administracji, pozbawieni ochrony wojskowej, zostali zaskoczeni przez polskich powstańców i dosłownie od swoich biurów przepędzeni i aresztowani”.

Miało to wymiar wręcz symboliczny. 11 listopada 1918 r. miejsca w najwyższych urzędach administracyjnych zostały opróżnione. Zajęli je Polacy, występując po raz pierwszy od wielu lat jako gospodarze we własnym kraju. Na zewnątrz symbolizowały to biało-czerwone chorągwie wywieszane na gmachach publicznych.

Na ogół porozumienie zawarte z Radą Żołnierską spełniło swoją rolę. Okupanci ustępowali, aczkolwiek niechętnie i pod naciskiem. Chowali się do koszar, a przede wszystkim do Cytadeli, która obejmowała cały zespół budynków wojskowych.

Zorganizowanie wyjazdu dla wielotysięcznej rzeszy żołnierzy i urzędników niemieckich urastało do rangi pierwszoplanowego zadania. Ażeby mu sprostać, kolejarzy polscy, korzystając z pomocy wojska, przystąpili do obejmowania stacji, odcinków drogowych, taboru kolejowego. Pracowano dosłownie dzień i noc. To, co Niemcy unieruchomili, starano się

jak najszybciej doprowadzić do stanu używalności. Na przykład unieruchomioną przez kolejarzy niemieckich elektryczną centralę zwrotnic warszawskich zastąpiono doraźnie ręcznym sterowaniem.

Rezultatem tych wszystkich wysiłków było to, że już 12 listopada przed południem zaczęto wysyłać z Warszawy pierwsze pociągi służbowe i wojskowe w kierunku Sosnowca, Kalisza, Aleksandrowa Kujawskiego, Mławy, to jest do punktów na ówczesnej granicy niemieckiej.

W ciągu tygodnia ewakuacja Niemców z Warszawy dobiegła w zasadzie końca. Odjechały 22 zorganizowane transporty, którymi zabrało się 26 940 osób. Oprócz tego jeszcze około 3 tys. Niemców wyjechało z Warszawy na własną rękę. Żołnierze wyjeżdżali z bronią, którą oddawali na przejściach granicznych.

Tą drogą w ręce polskie przeszły znaczne ilości broni. Tylko z Mławy odesłano do Warszawy 12 tys. karabinów ręcznych i 120 maszynowych, około 2 mln naboju, mnóstwo granatów ręcznych, pistoletów i broni białej.

Ostatnią jednostką wojskową, która opuściła Warszawę, był szpital wojskowy nr 3. Wyjechał on 2 grudnia 1918 r. W związku z tym poseł niemiecki w Warszawie Harry Kessler tak napisał w swym dzienniku: „To była nasza ostatnia zwarta jednostka w Polsce. Tak zakończyła się okupacja kraju, do którego w 1914 r. wkroczyliśmy z wielką otuchą i tyłoma nadziejami. Dziś muszę być zadowolony, że ostatni nieboracy, którzy tutaj nie mogli pozostać, odjeżdżają stąd cało”.

Opuszczenie przez Niemców stolicy przesądziło o rozwoju wypadków na prowincji. Niemcy generalnie godzili się na wyjazd, oddawali broń, siadali do pociągów. Były jednak wypadki, gdy sytuacja układała się inaczej. Dochodziło do sprzeciwu i walk. Konspiratorzy i wszelakiego rodzaju działacze niepodległościowi, przede wszystkim działacze Polskiej

Organizacji Wojskowej, rozproszeni w terenie w stopniu znacznie większym niż w Warszawie, zdani byli na własne siły i inicjatywę. W Łodzi, drugim co do wielkości mieście Królestwa Polskiego, nacisk ze strony ludności był tak wielki, że Niemców starano się skłonić do jak najszybszego wyjazdu. W rezultacie doszło do strzelaniny i walk na ulicach. Byli zabici i ranni. Za przykładem Warszawy rozpoczęto rokowania, które 12 listopada doprowadziły do porozumienia w sprawie ewakuacji Niemców. Tu jednak starano się odebrać im broń na miejscu.

W wielu innych miejscowościach słabo uzbrojeni członkowie POW występowali wobec dowódców miejscowych garnizonów i żądali złożenia broni. W większości wypadków to się udawało. Wszakże nie wszędzie. Tam, gdzie okupanci mieli dogodną drogę ewakuacji, tam starali się zabrać swe mienie i uzbrojenie, uchylając się od wszelkiej kontroli ze strony Polaków.

Tak było na przykład w Płocku. Tu Polacy zajęli miasto już 11 listopada. Niemcy odmówili jednak oddania broni, twierdząc, że „nikt im bezpieczeństwa i spokojnego powrotu do domu nie może zagwarantować”. Pod osłoną nocy wycofali się z koszar, zmierzając ku Wiśle, gdzie załadowali się na statki i barki. Odplynęli nimi w dół rzeki.

Następnego ranka na Wiśle można było zaobserwować całe flotylle statków i barek płynących z Warszawy, Zegrza, Modlina, wypełnionych żołnierzami niemieckimi. Jeden z łączników POW tak napisał o tym w swym meldunku: „Jadąc rano, zauważyłem wielki ruch na rzece. Statki dążyły w stronę granicy, wioząc ze sobą wielkie ilości pak, towarów i Niemców”. Próby zatrzymania ich we Włocławku nie dały rezultatów. Statki docierały do Torunia, leżącego już po drugiej stronie granicy.

Największą próbą przedarcia się Niemców przez pierścień otaczających ich Polaków był przemarsz zgrupowania liczącego

ponad 1,5 tys. żołnierzy z okolic Łodzi. Mieli oni do przebycia dość daleką drogę. Trzon formacji stanowiła kawaleria, dragoni, do której przyłączyły się oddziały piechoty i grupy żandarmów. Na drodze ich przemarszu leżał Sieradz, wyzwolony już przez Polaków. W mieście wywiązała się walka. Żołnierze POW walczyli z wielkim męstwem i poświęceniem, ale siły nieprzyjaciela były zbyt wielkie. Poległo pięciu peowiaków, kilku zostało rannych. W rezultacie Niemcy utorowali sobie drogę przez Sieradz. Przejście przez miasto nastąpiło nocą z 12 na 13 listopada. Żołnierze maszerowali w dużym pośpiechu, obawiając się ataku ze strony Polaków. „Gdy wóz z bagażami im się zepsuł – czytamy w relacji świadka wydarzeń – to go z dobytkiem zostawili, żeby tylko jak najszybciej wydostać się z miasta”.

Z Sieradza pomaszerowali na zachód. W miasteczku Błaszki Niemcy napotkali tłum, żądający oddania broni. Wówczas „szarżę na tłum wykonali dragoni, rozpraszając ludzi na wszystkie strony”.

W Błaszczach kolumna skręciła na Grabów nad Prosną, gdzie też po 30-kilometrowym marszu osiągnęła granicę zaboru, to jest ówczesnych Niemiec.

Wydarzenie to nabrało rozgłosu. Gazety niemieckie pisały, że „oddziały z Łodzi maszerowały z pełnym ekwipunkiem, z bronią i ubezpieczeniami, jak walczące jednostki w kraju wroga”. Podkreślano, że żołnierze po powrocie dali wyraz przekonaniu, że „na skutek tchórzostwa i zdrady przepadły dla Niemców olbrzymie zapasy uzbrojenia i żywności”.

Dla nas wszakże pozostanie w pamięci przede wszystkim bohaterska postawa i walka żołnierzy POW, którzy nie żałując swego życia, starali się przegrodzić drogę okupantom. Wspierani w tym byli przez ludność cywilną.

A oto jeszcze parę przykładów, jak różnie, często dramatycznie, przebiegały wówczas wypadki. Oto w nadgranicznej

Mławie już z rana 11 listopada urzędnicy niemieccy dali znać, że wkrótce opuszczą miasto. Wobec tego przedstawiciele polscy zgłosili się do naczelnika powiatu, który zgodził się przekazać im agendy. W ciągu dnia wszystko zostało przejęte. Rozbrojenie żołnierzy przy pomocy 50 peowiaków i młodzieży szkolnej odbyło się spokojnie. Zebrano 60 karabinów.

Żandarmi natomiast stanowczo odmówili wydania broni i w pełnym rynsztunku zaczęli wycofywać się w stronę pobliskiej granicy. Podążała za nimi gromada ludzi, przeważnie młodzieży, „nie szczędząc docinków pod ich adresem”. Żandarmi nie reagowali na zaczepki, dopiero na samej granicy kilku z nich odwróciło się nagle i dało do tłumu salwę z rewolwerów. Padł zabity uczeń z gimnazjum mławskiego Henryk Sokalski. Na jego pogrzebie zgromadziło się „całe miasto”.

W Łomży członkowie POW przystąpili do rozbrajania okupantów 11 listopada. Niemcy stawili opór. Doszło do walki ulicznej, podczas której zginął komendant okręgu POW, zasłużony działacz niepodległościowy, Leon Łuczyński „Kaliwoda”. Walka nie trwała długo. Niemcy skapitulowali i zostali rozbrojeni. Prasa doniosła, że „W Łomży panuje spokój”. Miasto było wolne. Ale sukces ten okupiony został bolesną stratą.

Konin – tu przebieg wypadków był bardzo burzliwy i krwawy. Do akcji przeciwko okupantom przystąpili członkowie POW, harcerze, uczniowie gimnazjalni. Ruszono na starostwo, gdzie zdobyto kilka karabinów. Gdy w otoczeniu tłumu młodzi powstańcy wkroczyli na rynek, zetknęli się tam z zaalarmowaną kompanią niemiecką, która od razu przyjęła ich ogniem. 6 osób zostało zabitych, sporo było rannych. Powstańcy zabarykadowali się w szkole i, choć była ich garstka, bronili się zawzięcie. Po dłuższym czasie Niemcy dali za wygraną i wycofali się do koszar. Następnego dnia wojsko wyszło z Konina w pełnym uzbrojeniu. Polacy mieli za słabe siły, żeby temu przeszkodzić. Okupanci nie zdolali jednak zabrać większości zapasów z magazynów.



Podobnych wypadków było znacznie więcej. Najtragiczniejsze wszakże rozegrały się na Podlasiu. Już po podpisaniu formalnego porozumienia pomiędzy władzami polskimi a Radą Żołnierską z 15 listopada 1918 r., które uregulowało tryb i sposób ewakuacji żołnierzy niemieckich, 16 listopada doszła do Warszawy wiadomość o ruchach wojsk niemieckich w rejonie Białej i Międzyrzecza Podlaskiego.

Informację tę potraktowano w sztabie polskim jako bardzo ważną, mogącą oznaczać, iż wojska niemieckie stacjonujące na wschodzie będą próbowały utorować sobie drogę przez Polskę do Niemiec. Niezwłocznie też podjęto wysiłki, ażeby przy pomocy Rady Żołnierskiej w Warszawie odwieść wojska niemieckiej armii wschodniej od tego zamiaru. Było jednak za późno, aby odwrócić bieg wypadków.

Wczesny ranek 16 listopada 1918 r. upływał w Międzyrzeczu spokojnie i sennie. W kilku miejscach na mieście oraz na stacji czuwały wystawione posterunki, ale większość żołnierzy polskich znajdowała się w swojej kwaterze w pałacu Potockich. Było jeszcze ciemno, gdy zbliżać zaczęły się do miasta samochody ciężarowe wypełnione wojskiem.

Trzyosobowy posterunek polski u wylotu z miasta, nie przeczuwając niczego złego, podpuścił samochody, nie otwierając ognia. Ale żołnierze niemieccy rzucili się od razu na peowiaków, jak w boju na wroga. Dwóch z nich zginęło na miejscu, trzeci ratował się ucieczką. Zabity został także przypadkowo znajdujący się w tym miejscu 7-letni chłopiec.

Droga przed napastnikami stanęła otworem. Ruszyli w stronę pałacu Potockich. Tam niezwłocznie przystąpili do akcji. Działali wprawnie i metodycznie. Ogień jednego karabinu maszynowego skierowali na drzwi wejściowe i schody, z drugiego ostrzeliwać zaczęli poddasze budynku. Peowiacy, mimo zaskoczenia, usiłowali się bronić, lecz zostali dodatkowo zarzućeni granatami. Wybuchł pożar. Kto usiłował wyskoczyć przez

okno, ginął od kuli. Jak pisze świadek wydarzeń: „Okrucieństwo pijanego żołdactwa nie miało granic. Mordowano, bito, pastwiono się, dobijając rannych żołnierzy polskich”. Wkrótce cały budynek był już tylko jednym morzem płomieni. Wszyscy, którzy w nim pozostali, zginęli.

Następnie działania Niemców przeniosły się do miasta, gdzie urządzony został prawdziwy pogrom. „Wyciągano z domów i mordowano bezbronnych ludzi, nie należących do żadnej organizacji. Rzucano do mieszkań granaty, raniąc i zabijając mieszkańców”.

Bilans masakry był uderzający. Zabito 19 żołnierzy POW oraz 26 cywilów, wiele osób zostało rannych. Celem napastników było sterroryzowanie ludności, złamanie wszelkich odruchów oporu dla utworzenia sobie drogi na zachód. Zresztą niezwłocznie ruszyli w tym kierunku. Dawało to przedsmak tego, co czekać może wyzwolone już ziemie polskie w wypadku nowego wtargnięcia Niemców.

Ale drogę przegrodziły im pospiesznie zebrane oddziały POW, wspieranej przez ludność. Pod wsią Kąkolewnica maszerujący Niemcy wpadli w zasadzkę. Do walk doszło też w wielu innych miejscach.

Dowództwo niemieckie musiało zdać sobie sprawę, że w miarę przesuwania się w stronę Warszawy, opór Polaków będzie narastał. Dużą rolę odegrały także naciski Rady Żołnierskiej, która wzywała do rokowań z Polakami.

W rezultacie doszło do pertraktacji, które w sposób bardzo umiejętny zostały poprowadzone przez stronę polską. Uzgodniono, że Polacy wycofają się z już zajętego Grajewa i nie będą blokować linii kolejowej, wiodącej z Ukrainy przez Brześć nad Bugiem, Białystok i właśnie Grajewo do Prus Wschodnich. Za to Niemcy zaniechają swych planów przemarszu przez ziemie centralnej Polski i pojadą wskazaną drogą okrężną.

Miało to ogromne znaczenie. Jak napisał ówczesny premier Polski Jędrzej Moraczewski: „Największe niebezpieczeństwo groziło Polsce ze strony półmilionowej blisko armii niemieckiej, wracającej z głębi Rosji do swojej ojczyzny. Najlepsze linie kolejowe i najbliższa droga prowadziła przez Polskę [...]. Trudno było sobie wyobrazić pomyślnie dla Polski zakończenie wojny ukraińskiej w razie, gdyby Niemcy ponownie zajęli Królestwo Polskie i przetrzymali Warszawę w swych rękach przez 3 do 4 miesięcy, to jest przez cały czas powrotu wojsk niemieckich do Rzeszy”. „Jednak trzon armii niemieckiej – pisał premier – wracał przez Grajewo i Prusy Wschodnie. Był to wielki sukces polityczny, za mało znany i dlatego niedoceniony do dziś dnia należycie”.

Według obserwacji polskich po linii Brześć – Białystok – Grajewo przejeżdżało na dobę około 30 pociągów załadowanych zrabowanym mieniem z Ukrainy – bydłem, świniami, końmi. Wieziono także sprzęt wojskowy, w tym samoloty, a nawet wagoniki kolejek wąskotorowych. Szosą, wzdłuż kolei, bez przerwy w stronę granicy ciągnęły tabory, pędzono konie, około 500 wozów i dwóch tysięcy koni dziennie. Okupanci wieźli i wieźli zrabowane mienie, lecz z coraz większymi obawami oglądali się do tyłu i przyspieszali kroku.

Osiągnięty powrót 3. korpus rezerwowy opuścił Białystok 18 lutego. Nazajutrz wkroczyły do miasta oddziały wojska polskiego. Wyjście Niemców z Białegostoku odbyło się planowo i bez zatargów. Ale w Osowcu cofające się oddziały podpaliły koszary.

Jako straż tylna cofającego się wojska przeszła granicę niemiecką 20 lutego, idąca marszem konnym z Ukrainy I brygada kawalerii. Tym samym zamknął się wreszcie odwrót wielotysięcznej armii z Ukrainy.

\*

Ziemie Polski centralnej od Karpat aż po granicę Prus Wschodnich, od Prosny po Bug, były wolne i nie było już od tego odwrotu. W następnej kolejności pomyśleć można było o dalszych zadaniach – o wyzwoleniu ziem zaboru pruskiego – Wielkopolski i Pomorza, a także Ziemi Śląskiej. Z drugiej zaś strony, o odzyskaniu „ziem zabranych” na wschodzie, które stanowiły niegdyś integralną część Rzeczypospolitej. Prowadziło to do odbudowania Polski w nowych jej granicach.

A wszystko to zrealizować można było dzięki udanemu zrywowi z listopada 1918 r., który pozwolił młodemu państwu od razu stanąć mocno na nogach. Uwidoczniło się to w sprawnym przejęciu władzy, zorganizowaniu własnej administracji. Ale przede wszystkim pozwoliło bardzo szybko zbudować armię.

Po przełomie listopadowym żołnierzy polskich pod bronią było w różnych formacjach zaledwie 30 tys. Ale już w połowie stycznia 1919 r. liczba ich osiągnęła 100 tys., by pod koniec lutego przekroczyć 150 tys., wykazując nadal stałą tendencję wzrostu. Powstawało wojsko polskie, które mogło coraz skuteczniej bronić odrodzonego państwa.

Zwycięstwo, które symbolizuje dzień 11 listopada, miało także swój ogromny wymiar moralny. Po wiekowej niewoli, po klęskach kolejnych powstań narodowych – kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego, po niepowodzeniach zrywów z lat 1846 i 1848 – nadszedł wreszcie oczekiwany i wypatrywany przez pokolenia moment zwycięstwa. Przerwał, zakończył długi okres obcej dominacji i prześladowań Polaków. Stali się oni wreszcie panami na własnej ziemi.

W listopadzie 1918 r. zaszły wypadki wyjątkowe, kiedy to na ulicach miast i w opłotkach wsi bezbronna niemal młodzież rzucała się na Niemców i wydzierała im karabiny. Działania zorganizowanych grup – peowiaków, straży obywatelskich,

milicjantów miejskich, harcerzy, „sokołów” – wspierała cała ludność, przyczyniając się niejednokrotnie samą swą postawą i obecnością do obezwładnienia okupantów. Działo się tak, gdyż siły Niemców były nadwątlone przez klęskę wojenną i rewolucję, ale także dlatego, że Polacy górowali moralnie nad okupantami, przeważali zapałem, determinacją, gotowością do walki i ofiar.

Były to niepowtarzalne, niezapomniane dni. „Niepodobna oddać tego upojenia – wspomina Jędrzej Moraczewski – tego szalu radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach przysły kordony! Nie ma «ich»! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! [...] Kto tych krótkich dni nie przeżył, kto nie szalał ze szczęścia w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie dozna w swym życiu najwyższej radości. Cztery pokolenia czekały nadaremnie na tę chwilę, piąte doczekało”.

Wielkie znaczenie dla przebiegu wydarzeń miało i to, że główna linia działania była ze strony polskiej wyraźnie określona i konsekwentnie realizowana. I dzięki temu w dużym stopniu udało się tak wiele uzyskać. Józef Piłsudski w tych decydujących dniach obrał trafny kurs na wykorzystanie czynników rewolucyjnych w wojsku niemieckim, na porozumienie z Radami Żołnierskimi w sprawie ewakuacji. I porozumienie takie zdołał zrealizować z wielką korzyścią dla odradzającego się państwa. W literaturze przedmiotu rozpowszechniony jest pogląd, że Józef Piłsudski dlatego został Naczelnikiem Państwa, gdyż jak nikt inny potrafił pacyfikować konflikty społeczne. Tutaj dodać warto, że nie mniej ważnym, choć tylko przejściowym, czynnikiem i poważnym jego atutem stała się umiejętność porozumienia z Niemcami, zorganizowania ich ewakuacji w sposób pokojowy, a także odwrócenia niebezpieczeństwa niemieckiego najazdu grożącego ze wschodu.

A podkreślmy jeszcze raz, niebezpieczeństwo to zwłaszcza w początkowym okresie było duże i całkowicie realne, gdyż nowo odrodzone państwo było jeszcze słabe, niezorganizowane, posiadało tylko zawiązki wojska i mogło, jak wówczas mówiono, zostać „rozdeptane przez Niemców”. Jak pisał przed wojną autor francuski Benoist-Méchin: „Polska była niby wyspa, która zaledwie wyłoniła się z oceanu i w każdej chwili pochłonięta być mogła przez nowe fale”.

Jednak we wspomnieniach Polaków wydarzenia listopadowe zapisały się jako dni triumfu i chwały. Polska została wyzwolona. Niemcy odjechali w większości rozbrojeni, zostawiając karabiny, amunicję i sprzęt, które posłużyły za podstawę wyposażenia tworzącego się wojska polskiego. Odjechali, pozostawiając nagromadzone w magazynach zapasy żywności, na stacjach i szlakach kolejowych dość znaczne ilości wagonów i lokomotyw. Wszystko to miało ogromne znaczenie dla odradzającego się państwa.

Zwycięstwo okupione zostało jednak stratami. Według niepełnych obliczeń na obszarze okupacji niemieckiej podczas akcji rozbrajania i usuwania Niemców poległo około stu osób, kilkaset odniosło rany.

W tym sensie walki listopadowe miały wyraźne znamiona powstania zbrojnego. Stawano orężnie przeciwko okupantom, walczono z nimi, były ofiary. Wprawdzie siły okupantów były osłabione, chociaż najczęściej przeciwnik po krótkim czasie kapitulował, ale nie zmienia to istoty rzeczy, że w listopadzie 1918 r. miał miejsce zryw zbrojny.

A jeśli było to powstanie – to uzyska ono zapewne miano drugiego powstania listopadowego, tym razem zakończonego zwycięsko.